



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



Na ślizgawce.

Nieś nas łyżwo szybko, lotnie
Przez lodową toń,

A ty wietrze, jeśli można,
Przyjaciółki goń!



St. KRAMSZTYK.



Gdzie są kresy atmosfery ziemskiej?

Rozmowa toczyła się o balonach. Opowiadano o słynnych podróżach powietrznych i ze zdumieniem dowiadywano się, że niektórzy aeronauci wzbijali się do wysokości niemal 11 kilometrów, co czyni około półtorej mili geograficznej i przechodzi o 2000 przeszło metrów najwyższe szczyty gór Himalajskich.

Tak dalekich warstw powietrza nie dosięga już nawet kondor, a wierzchołki gór stamtąd widziane wydają się, jakby zalegały głębokie przepaście.

Przedmiot rozmowy nasunął łatwo pytanie, jak też wysoko w ogólności sięga atmosfera nasza, gdzie kres swój znajduje powłoka powietrzna, zewsząd ziemię otaczająca, a gdy nikt z obecnych na pytanie to odpowiedzi dać nie umiał, zerwał się młody mój przyjaciel: „Ja to zaraz powiem, zaraz obliczę.”

Młody mój przyjaciel uczył się już fizyki i wiedział, że powietrze, chociaż bardzo lekkie, 777 razy lżejsze od wody, posiada wszakże pewien ciężar, a stąd wywiera ciśnienie na powierzchnię ziemi i na wszelkie przedmioty, z którymi w zetknięciu pozostaje. Wiedział też, że ciśnienie to dźwiga słup rtęci w barometrze, na 76 centymetrów wysoki, co znaczy innemi słowy, że na każdą powierzchnię, na dach domu naszego naprzykład, powietrze wywiera ciśnienie również wielkie, jak warstwa rtęci mająca grubość 76 centymetrów.

Według tego rozumował dalej. Gdybyśmy dla sprowadzenia podobnego ciśnienia zastąpili chcieli rtęć wodą, należałoby użyć warstwy wody 13,6 raza wyższej, woda bowiem jest 13,6 raza od rtęci lżejsza; przypuszczalna ta zatem warstwa wody miałaby wysokość $76 \times 13,6 = 1033,6$ centymetra, czyli 10,336 metra. Ponieważ zaś powietrze, jak przytoczyliśmy już wyżej, jest od wody 777 razy lżejsze, warstwa zatem powietrza, by takież samo wywierała mogła ciśnienie, sięgać winna do wysokości $10,336 \times 777$ metrów, co po odrzuceniu części dziesiętnych daje 8031 metrów.

Uradowany więc rachunkiem tak sumiennie przeprowadzonym, wykrzyknął młody mój przyjaciel, że powietrze wznosi się do wysokości przechodzącej nieco 8000 metrów czyli 8 kilometrów, a ponieważ mila geograficzna obejmuje 7420 metrów, granica przeto atmosfery naszej przypada w odległości, niewiele jedną milę przechodzącej.

Tak stanowcze oświadczenie przyjęto z niedowierzaniem, z niejakiem szyderstwem nawet,

przypomniano bowiem, że przecież już balony same wzbijały się w powietrzu do wysokości większej, jakżeżby zatem kres jego przypadać mógł w tak niewielkim od powierzchni ziemi oddaleniu.

Zmieszał się tedy biedny rachmistrz, a sądząc, że się pomylił w mnożeniu, albo też, że przecinek błędnie umieścił, chciał obliczenia swoje raz jeszcze powtórzyć z uwagą bacniejszą; ostrzeżono go wszakże, że robota ta na nic się nie przyda, błąd bowiem nie tkwił w rachunku, ale w mylnej zasadzie samego rozumowania.

Młody mój przyjaciel zapomniał o jednej rzeczy, o tem mianowicie, że w miarę jak wznosimy się w górę, powietrze staje się coraz rzadsze. Jeżeli mówimy, że powietrze jest 777 razy od wody lżejsze, tyczy się to tylko warstw jego najniższych, w bezpośrednim sąsiedztwie z ziemią pozostających; wyższe jednak warstwy atmosfery doznają ciśnienia słabszego, rozszerzają się swobodniej i przybierają gęstość coraz mniejszą.

Według tego, co o własnościach powietrza wiemy, okazuje się nawet, że gęstość ta słabnie nader szybko, gdy bowiem oddalenie od ziemi wzrasta w stosunku arytmetycznym, powietrze rozrzedza się w stosunku geometrycznym. Stąd obliczyć można, że w wysokość mili geograficznej gęstość powietrza jest już przeszło dwa razy mniejsza aniżeli przy powierzchni ziemi, a dalej jeszcze ubytek ten idzie bardzo szybko! W wysokości dziesięciu mil powietrze jest blisko 7000, a w wysokości trzydziestu mil aż 250 biljonów razy rzadsze, aniżeli warstwa, w której żyjemy i oddychamy.

W takim zatem oddaleniu od powierzchni ziemi powietrze jest już niesłychanie rozrzedzone, ale to nie znaczy bynajmniej, by tam już przypadał zupełny kres atmosfery.

Zagadka ta wszakże oddawna podniecała ciekawość ludzką, starano się więc wyszukać sposoby, któreby dozwoliły ją rozstrzygnąć, a najdawniejszą do celu tego wiodącą metodę wskazał sławny optyk arabski *Alhazen*, zmarły 1038 roku w Kairze. W tak odległych już czasach uczony ten Arab zrozumiał, że do rozpoznania wysokości atmosfery posłużyć mogą objawy zorzy.

Zorzę bowiem poranną i wieczorną, czyli świt i zmierzch, powoduje atmosfera. Gdyby atmosfera nie istniała, natychmiast po zachodzie słońca następowałaby ciemność zupełna; skoroby tylko słońce obniżyło się pod poziom ziemi, czyli przed naszym wzrokiem skryło, żaden już promień nie zdołałby do nas zabłądzić. Górne wszakże warstwy powietrza odbijają, czyli raczej rozpraszają przez pewien czas promienie słońca, chociaż jest już ono dla nas pod poziomem

ukryte i rozjaśniają widnokrąg, który tym sposobem stopniowo tylko i zwolna w ciemności się nocnej pograża, w miarę jak słońce coraz niżej pod poziom schodzi. Zmierzch i świt w różnych okolicach ziemi posiadają niejednaką trwałość; w jednym i temże samem zresztą miejscu w różnych porach roku trwanie zorzy jest zmienne, ale w każdym razie koniec zmierzchu następuje w chwili, gdy słońce schodzi do pewnego oznaczonego punktu pod poziom, gdy mianowicie usuwa się na 18° stopni poniżej niego.

Gdyby atmosfera sięgała wyżej, promienie słońca dobiegałyby przez czas dłuższy dowarstw jej skrajnych, a stąd zorza jaśniałaby dłużej i zupełna pomroka nocna później dopiero zalegałaby niebo; gdyby granica atmosfery przypadła niżej, zorza dobiegałaby wcześniej zupełnego kresu swego. Znaczy to, że czas trwania zorzy zależy od wysokości atmosfery.

Skoro więc zauważymy dokładnie, jak długo po zachodzie słońca trwa zorza w pewnym miejscu i w pewnej epoce, można stąd wysokość atmosfery obliczyć. Tak właśnie postąpił Alhazen, a z dostrzeżeń swych i rachunków wniósł, że wysokość atmosfery wynosi 52000 kroków, co znaczy około 5 do 6 mil.

Przyznać należy, że pomysł obliczenia wysokości atmosfery z czasu trwania zorzy jest prawdziwie genialny, a zdumiewa nas tem bardziej, że działo się to już tak dawno, przed 900 laty, gdy nauka na bardzo jeszcze niskim pozostawała stopniu. Ale w owym ezasie właśnie, gdy Europa pograżona była w zupełnej ciemności, nauki kwitły u Arabów, byli między nimi znakomici astronomowie i geografowie, matematycy i mechanicy, lekarze i chemicy, a dzieła ich dotąd są pamiętne. Arabowie byli wtedy ncerodem wybitnym i mieli państwa potężne, ale stanowisko to wśród narodów ucywilizowanych utracili, gdy uprawę nauk zaniedbali i stali się fanatycznymi mahometanami, którzy jedyne źródło mądrości w koranie swym widzą. Historia Arabów uczy nas w sposób przekonywający, że oświata jest niezbędnym warunkiem rozkwitu każdego narodu.

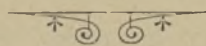
Uwagi te jednak odwiodły nas daleko od naszego przedmiotu, wróćmy więc do Alhazena. Drogą przezeń wskazaną starali się różni uczeni oznaczyć wysokość atmosfery, ale z dochodzeń swoich otrzymywali liczby niejednakowe; gdy jednym wypadło 30 kilometrów, a nawet mniej jeszcze, wnosili inni, że powietrze sięga do 70 kilometrów czyli do 10 mil prawie.

Skąd niezgodność taka pochodzi, pojmiemy łatwo, gdy zważymy, jak trudno uchwycić chwilę, gdy zmrok kończy się ostatecznie

i następuje już zupełna ciemność nocna. Mówimy, że kres zmierzchu następuje, gdy na niebie ukazują się już najśłabsze gwiazdki, gołem okiem widzialne, ale ludzie posiadają niejednakową potęgę wzroku, nie wszyscy jednakowo dobrze rozróżniają tak słabo świecące gwiazdy, nie mogą więc też zgodnie wskazać, w której chwili blask zorzy zupełnie na niebie gaśnie, a stąd i ocena wysokości atmosfery nie wypada zgodnie.

Zresztą, jestto także rzecz jasna, że tą drogą nie można bynajmniej oznaczyć rzeczywistych granic atmosfery, górne bowiem jej warstwy są tak rozrzedzone, że bardzo słabo światło rozpraszają i nie przyczyniają się już do wywoływania objawów zorzy. Stara metoda Alhazena uchwycić może te zatem tylko jeszcze warstwy powietrza, które są dosyć gęste, by światło w sposób wyraźny odbijać mogły; jestto jakby granica; od której powietrze nader już szybko rzednieć zaczyna, od tych warstw wszakże aż do ostatecznych kresów atmosfery niezmiernie jeszcze daleko.

(d. c. n.)



Z. Morawska.



Przygody Imć Pana Mikołajka.

Powieść z XVI w.

(Ciąg dalszy).

— A już ja tam draszków dopilnuję, że za te kilka pacierzy co zmarnowali, to się pośpieszą! — dodał, odchodząc.

— Wisus, niepoń! — mruzczał pan Rej, idąc ku domowi.

Znać wszakże było, że go złość omijała. Zaledwie też drzwi otworzył, kiedy Mikołajek padłszy mu do nóg, wołał:

— Tatuleńku kochany, niech się jegomość dobrodziej nie gniewa, toć ja nie chciałem nic złego zrobić.

Ojciec się zmarszczył, ale Mikołajek rezonu nie tracił, jeno mówił dalej:

— Wlazłem oto na zasięk, zdrzemnąłem się nieco, aż tu słyszę krzyki... serce mi zakołatało... zląkłem się ogromnie. Wyścibiłem głowę, niema nic, jeno słonko wesoło pogląda, — więc myślę sobie: sprawię ja wam Kołajok!

— No, i ustroiłem się cudacznie, i wychodzę a tu mnie ktoś cap!..

— Capnę ja ciebie!.. — ozwał się ojciec.

Ale pani Barbara przystąpiła zaraz i rzecze: — Mój jegomościuniu, daruj też dziecku... toć on już nigdy więcej tego nie uczyni...

— Nii!.. — odezwał się Mikołajek, chyląc się do stóp ojca.

— Jejmość zawsze za nim, choć on ci tyle alteracyi sprawuje, bąknął pan Rej, obejmując małżonkę i patrząc w jej rozradowane już teraz oblicze.

Pani Barbara mile się uśmiechnęła a małżonek rzekł — srożąc wąsy:

— Niechno—by mu jeszcze raz coś podobnego się trafiło! przydarzyło!..

Już ja jemu cugli ukróć! — dodał.

A że wniesiono polewkę czarną z prosięcia, w której gęsto pływały kawałki słoniny, pan Rej zabrał się do jedzenia.

Mikołajek skromnie usiadł na brzeżku ławy przy matce, a widząc, że ojciec z każdą łyżką rozmarszcza pochmurzone oblicze i on począł głód zaspakając, który mu setnie doskwierał.

Przyniesiono wkrótce prosię kaszą hreczaną nadziane, za które, chociaż było nieco wysuszone, kucharz na ten raz *monitum* nie otrzymał.

Postawiono też i ową wątróbkę dla Mikołajka przeznaczoną.

Rozchodził się od niej więcej niż od prosięcia, zapach czosnku i rozmaitych przypraw, a pan Rej spojrzawszy, mówił:

— Tak, tak, niech jejmość jeszcze temu nicponiowi dogadza!

— To kucharz sam przez się... — odparła pani Barbara.

— Wszyscy go psują, ale ja jemu cugli ukróć! — rzekł znów pan Rej, rzucając pod stół kość z prosięcia.

Psy poczęły się bić o rzucony przysmak, pan Rej począł je uciszać, a że i pani Barbara miała tam swego ulubienca i także pod stół spojrzała, Mikołajek skorzystał z tego, wziął we dwa palce przeznaczoną dla siebie wątróbkę i nie odwracając się, podał przez ramię stojącemu za sobą Hryciowi. Hryć otworzył szerokie usta, ukrył w nich podany sobie przysmak, a gdy państwo Rejowie z psami się załatwili, wątróбка wjechała już w gardło pacholka.

Mikołajek tymczasem wycierał chlebem misę po snakowitym sosie.

II.

Chudzina.

Ojciec Mikołajka, imię pan Stanisław Rej, choć nie posiadał żadnego urzędu, poważany był u sąsiadów. O urzędy też nie dbał, mówiąc:

— Służba Bogu, krajowi i braciom to najlepszy urząd, reszta to furda — mospanie.

Snać też służył krajowi, broniąc go od napadu Tatarów, Turków i wszelkiego innego plugastwa, które na ziemi Naddniestrzańskie wlażyło, skoro król Olbracht puścił mu w dzierżawę nader intratną wieś Żórawno, nieopodal Żydaczewa nad Dniestrem leżącą.

Rodzina Rejów była silna, pochodziła z Krakowskiego, pisali się z Nagłowic, a pieczętowali Okszą, ale, że od przybytku głowa nie boli, nie zaboląła też i pana Stanisława od intratnej dzierżawy.

A że i żona mu umarła i smutek w Nagłowicach go trapił, zostawił więc swoje ma-

jątki, w Krakowskiem zaufanemu podstaroście mu a sam się do Żórawna przeniósł.

Tu się też i ożenił z wdową po Żórawińskim, imię panią Barbarą, z domu Herburtówną i tutaj doczekał się r. 1505 syna, znanego już nam Mikołajka.

Gdy Mikołajek ujrzał światło dzienne pan Stanisław był już człek stateczny po pięćdziesiątce, ucieszył się więc niepomału z jedynaka i okrutnie go hołubił, chociaż wiecznie obiecywał:

— Już ja temu nicponiowi cugli ukróć! Nie ukrócił wszelako.

Pani Barbara również była już nie pierwszej młodości, więc, chociaż z domu Herburtówna, a wiadomo: — „Herburtówna roztropnością mężom równa“ — zrównała też małżonkowi, ba, przewyższyła go nawet, ale... w pieszczaniu ukochanego syna.

Rósł więc Mikołajek jak dziczka na polu, z chłopskimi dziećmi jako żrebię na swobodzie igrając.

Gorzej nawet, boć chłopak kmieci jak się tylko zmógł, z dzieciństwa do pracy był wołany, a Mikołajek o pracy tyle wiedział, ile o tym wietrze, co gdzieś tam daleko po stepie hasał.

A że z przyrodzenia umysł miał bystry a wielce ciekawy, używał go też na psie figle, które i rodzicom i nie jednemu doskonale dojadły.

Jeno, że umysł nie leniował a w wygodach i dobrem jedzeniu się nie zaprzepaszczał.

Po owej nadmiernej alteracyi, jaką sprawił obojgu rodzicom, ojciec jegomość tak się zawziął, że chociaż przy obiedzie dawał spokój, w duszy jednak myślał, jakby Mikołajka w jakiej takiej subordynacyi i posłuszeństwie utrzymać.

Zaledwie onego dnia ojciec do gospodarki wszedł, już Mikołajek począł się z Hryciem znawiać, by z siłkami na ptaki się wyrywać.

Wtem psy poczęły ujadać, a Mikołajek nie czekając Hrycia na podsienie wyskoczył.

We wrotach stał chudy, mizerny, bylejak odziany a niewiele co od Mikołajka większy młodzieniaszek.

— A pódziesz! — zawołał Mikołajek na psa najgrubszym, jak mógł głosem.

Psy przysiadły, pomrukując i wyszczerzając zęby, jakby chciały tem dowieść gotowości swojej na wszelkie rozkazy.

Mikołajek pobiegł do wrót, a biegnąc groził psom i wołał:

— Leżeć!

Psy spoglądały to na niego, to na wkraczającego niesmiało we wrota chudzinę i poszczekując, biły ogonami o ziemię.

— Co zacz? — spytał Mikołajek, zbliżywszy się do nieznanego.

I wziąwszy się pod bok, udawał dorosłego i przypatrywał się mizerakowi.

Ale mizerak spojrział mu w oczy i choć zbiedzonym głosem, rzekł śmiało:

— Żak¹⁾ podróżny, — proszę o gościnnie!

1) Uczniów ze szkół nazywano żakami.

— Gościna w Żórawnie dla każdego się znajdzie! — rzekł Mikołajek, naśladowując głos ojca.

— Proszę ze mną! — dodał z miną dorosłego. Przybyły spojrział z uśmiechem na puszącego się chłopca i ruszył z nim ku domowi.

Psy poczęły naszczekiwać.

— Nie rusz, — to gość! — rzekł Mikołajek wskazując na idącego obok młodzieniaszka.

Psy obwąchały gościa i ruszając ogonami spokojnie odeszły.

— Znają mores, co!? — odezwał się z zadowolaniem Mikołajek.

— I jak! — przyświadczył żak z uśmiechem.

— To ja tak je wyuczyłem! — pochwalił się młody Rej. A tybys potrafił? — spytał, poglądając na wytartą opończę i słomę wychodzącą z hodaków podróżnego.

— Nie próbowałem...

— Te, to kundle, — przerwał Mikołajek, ale ja do pola teraz młode ogary układam.

— Ho, ho, ho! — zdziwił się przybyły.

— Jak się ogrzejesz i podjesz, — to ci je pokażę, — mówił Mikołajek zadowolony, że się może przed kimś nowym pochwalić.

Weszli właśnie na podsienie.

Przybyły otrząsnął śnieg z chodaków, — przyciągnął nieco pasa na wiszącej na nim, jak na kiju opończy i wszedł za Mikołajkiem do izby.

Mrok już zupełny w niej panował.

Małeńkie w otów oprawne a teraz zamarnięte okienka, za dnia nawet niewiele przepuszczaly światła, — teraz, kiedy słońko skryło się za przeciążone śniegiem obłoki, okienka skrzyły się tylko mrozem, odbijając ogień z płonącej kłody na wielkim kominie.

Przybyłemu na widok ognia, rażno się od razu na sercu zrobiło, więc chociaż nikogo w izbie nie dojrzał, ozwał się z fantazyą:

— Laudetur Jesus Christus!

— Amen... odrzekł, Mikołajek, — bo sły-szał, jak ojciec na powitanie księdzu tak odpowia-da.

Spojrział też z większem poszanowaniem na przybyłego i wpadł do czeladnej za matką, gdzie właśnie pani Barbara len do przedzenia wydzielała, wołając:

— Jejmość dobrodziejko, mateńko kochana, — przyszedł podróżny, żakiem się mieni, niewiele co większy ode mnie, — o gościnię prosi — chudy jak szczapa, — mało go psy nie poszarpały, — alem obronił, — musi być głodny, chodaki ma dziurawe — mówił bez ładu i składu jednym tchem Mikołajek.

Ale matka zrozumiała jeno, że jest gość, że mu trzeba dać posiłek i że go syn od psów obronił.

— A przynieść tam chlebowej gorącej ze sperką polewki i chleba nie żałować! — zawołała na Paraskę.

I chwając ukochanego jedynaka, że podróżnego pod dach wprowadził i psy precz odpędził, w duszy sobie mówiła:

— Jegomość sierzdi się na jedynaka a on ma dobre serce... Niema chyba drugiego takiego, jak nasz Mikołajek...

I pogłaskała go po pucółowatej, rumianej twarzy.

A Mikołajek objął w pół rodzicielkę i tak przytuleni do siebie weszli do pierwszej izby.

Przybyły przykleknawszy rozgrzewał zziębnięte ręce przy kominie, ale na widok jejmości zerwał się i nisko a składnie do nóg jej wyszarżaną czapczyną się skłonił, gładko się odezwał:

— Wprowadzony przez tego kawalera, a zapewne syna jejmości dobrodziejki o gościnię ośmielam się prosić.

— Chwali się to memu Mikołajkowi, że nam gościa przywiódł którego zaraz ciepłym posiłkiem przyjmiemy, — rzekła pani Barbara. — Ale skądże Pan Bóg prowadzi? — spytała.

— Z Żydaczewa¹⁾ wracam do Krakowa...

— Ho, ho, to daleko! przerwała pani Barbara.

Jednocześnie Hryćko wniósł misę doskonale omaszczoną polewki i duży kawał chleba, lecz nie wiedział gdzie postawić temu gościowi, który tak mizernie wyglądał i tak biednie był odziany, więc poglądał na jejmość dobrodziejkę.

Ale Mikołajek wziął gościa za rękę, przysunął mu do stołu ławę i rzekł:

— Siadaj i zjadaj, — musisz być głodny.

Przybyły nie dał się zapraszać.

Nadrobił w polewkę chleba i zmiatał ją z wielkim apetytem.

— Jestem imć Mikołaj, syn imci Stanisława Reja, co pisze się z Nagłowic, a pieczętuje Okszą, — mówił pusząc się Mikołajek.

— Ho, ho! — odrzekł gość, przełykając kawał chleba.

— Jak zjesz, to cię zaprowadzę do moich piesków, — mówił dalej Mikołajek, chcąc przybyłego jaknajprędzej wciągnąć do swoich figłów i zabaw.

W tem wszedł pan Stanisław.

Gość przełknął co tchu zanieśioną do ust polewkę, wstał i ścisnąwszy za kolana jegomościa, wytłómaczył się znów z swego przybycia i o gościnię poprosił.

— Dobrze, dobrze, — gość w dom, Bóg w dom — rzekł jegomość.

I spojrział z zadowoleniem na syna.

W duszy zaś, rzekł sobie.

— Już to przyznać trzeba, że nasz Mikołajek ma dobre serce i z ludźmi sobie umie poczynać...

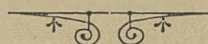
A głośno zapytał:

— Z daleka?

— Z Żydaczewa, jeno mnie jakies cho-róbsko zmogło, tom się i zmachał szpetnie, — odrzekł chłopiec, zerkając na misę, w której jeszcze kilka łyżek polewki, i najlepsze szperki zachowane na ostatek, zostały.

Pan Rej spostrzegł spojrzenie, bo uśmiechnąwszy się rzekł:

(d. c. n.)



1) Żydaczew m. w Galicji nad rz. Stryjem.

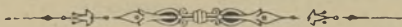
3)

Wawrzyniec Zeal.

— i * i —

TALIZMAN WŁADZY.

Przekład M. G.



Ale z chwilą zjawienia się tego wielkiego wodza Tybetańczycy wystąpili na widownię. Ten król — którego imię nawet zaginęło, tak dalece mgłą wieków przysłonięte było podanie — zwany tylko przydomkiem „Największy“ lub „Najpotężniejszy“ — był tak jak Salomon wielkim i sławnym władcą. I tak jak Salomon — bardzo mądrym. Wiedział i znał wszystko, co jest na ziemi, a prócz tego mówiono, że zna i wie to — tak — że co jest poza ziemią.

mi. Kiedy król wziął go do ręki, zadziwiony zobaczył, że składa się z dwóch części ściśle z sobą dopasowanych. Złożył — i nie było nawet śladu spojenia. Każda z tych części z osobna była niekształtna i nic nieznacząca — ale połączone z sobą stanowiły podłużny, płaski kawałek pięknego jaspisu, pokryty delikatną rzeźbą.

Pod światło widać w nim było jakieś niewyraźne mgły, a gdy promień słońca padł nań ukosem, kamień nabierał dziwnego blasku. Ry-

sunków nikt nie rozumiał ale z tego, co mi wówczas mówił T a n a w h a, przypuszczam, że od niego pochodzi owe podwójne koło, czczone w Chinach i tajemnicze wrzecionowate litery znajdujące się na świętych przedmiotach Buddyjskiej sztuki, oraz dziwacznie i brzydko rozdęte i pokręcone kolumny tybetańskich świątyń.

Tej samej nocy wielki król miał dziwny sen. Śniło mu się, że ten jaspis jest talizmanem potęgi. Dopóki ma go w swoim ręku, będzie dzierzył berło świata. Będzie mógł czynić co zechce. Świat cały uzna potęgę talizmanu, i nikt nie zdoła jej zwalczyć. Król będzie miał u swych stóp świat cały. Ale każdy z poddanych może mu wykraść połowę talizmanu, a z chwilą

utrąty tej połowy, talizman postrada swoją moc.

Rządził długie lata i władza jego była coraz potężniejsza, a kiedy została już ugruntowana na niewzruszonych podstawach, król objawił światu tajemnicę swej potęgi.

Posiadał on talizman z zielonego jaspisu, obdarzony cudownymi własnościami. Talizman ten nie był ziemskiego pochodzenia. Spadł bowiem pewnego razu z bezchmurnego nieba do stóp króla — który podjął go z trwogą i zdumieniem; był to mały kawałek zielonego jaspisu, rzeźbiony w niezwykły sposób. Były na nim wyryte litery nie należące do żadnego z języków na zie-

Lecz ten, komu się uda w późniejszych czasach złączyć na nowo oba kawałki jaspisu, posiadzie cały świat. W jego ręku znajdzie się nieograniczona władza, i dlatego, talizman ten nazywają „Berłem Świata“.

Wielkiemu królowi powodziło się szczęśliwie przez długie lata, aż nagle, — pewnego razu — wojsko jego, któremu sam przywodził, poniosło straszną klęskę i rozproszyło się w bezładnej ucieczce. Królowi udało się powrócić do stolicy,



Tanawka opowiadał z coraz większym ożywieniem.

Ah-ni-ghi-to.

Dzieweczka z krainy śniegów.

Przekład z ang. M. G.

III.

W kilka dni potem statek zatrzymał się pierwszy raz w Grenlandyi, w Godharn, stolicy tego kraju. Na spotkanie statku wypłynął pilot, Eskimos w małym skórzanym czółnie, i został wciągnięty na pokład razem z czółnem. Kapitan Sam zamierzał zabrać stąd ubranie ze skóry fok, obstalowane dla ojca *Ah-ni-ghi-to*.

Słońce świeciło teraz przez całe dwadzieścia cztery godziny i nie było wcale nocy.

Kiedy mateczka powiedziała, że Godharn jest stolicą duńskiej Grenlandyi, *Ah-ni-ghi-to* śmiała się.

— Tak samo jak Nowy Jork jest stolicą Stanów Zjednoczonych? O mateczko! jak to śmiesznie spojrzeć na te drewniane domki, jednopiętrowe, i na ten drewniany kościółek, i na te kupki ziemi z okienkiem wprawionem w jednym końcu, a z kominem na drugim końcu — i pomyśleć, że to jest „stolica kraju!”

A jednak to jest stolica. Inspektor duńskiej Grenlandyi, gubernator Godharnu, jego pomocnik i ich rodziny, to jedyni biali ludzie w całym „mieście“.

Te „kupki ziemi“ — jak je *Ah-ni-ghi-to* nazwała — to są domki krajowców. Nie mają piętra, a zbudowane są z kamienia i z torfu, napół w ziemi, napół na wierzchu. Torf, który spaja kamienie, porasta trawą i kamienie znikają pod nią. Psy domowe śpią na dachach tych lepianek, które przez to robią się jeszcze podobniejsze do kupek ziemi. Duński gubernator wymaga, ażeby dzieci krajowców chodziły do szkoły i do kościoła. Nauczyciel jest zarazem duchownym, i zwykle bywa nim rodowity Grenlandczyk, wychowany w tej samej szkole.

Ah-ni-ghi-to doznała zawodu, bo była druga w nocy, kiedy statek zarzucił kotwicę, i wszyscy spali, pomimo, że było widno.

Kapitan powiedział, że niema czasu do stracenia i że wysiądzie zaraz na ląd, nie czekając aż się ludzie pobudzą, i postara się zobaczyć z gubernatorem. Po jego odjeździe kilku krajowców zbudzonych gwizdawką *Windwarda* przyszło na brzeg zobaczyć, co to za statek, i czy nie dałoby się sprzedać *kajaków* (czółen) i sani w zamian za kawę, cukier i suchary.

Pomiędzy nimi był jeden stary człowiek, który nazywał się Brobery, a widział *Ah-ni-ghi-to* kiedy była maleńką, na ręku u nianki — i potem kiedy miała cztery lata. Znał też jej ojca, i zapytał o niego bardzo łamaną angielszczyzną. *Ah-ni-ghi-to* wydał się niezmiernie zabawny i opisała go w swoim dzienniczku:

„10 sierpnia.

„Przyjechaliśmy do Godharnu dziś rano o drugiej. Nie mogłam wysiąść na ląd. Widziałam kilku Eskimosów, których znałam dawniej. Jeden z nich stary bardzo jest zabawny. Nazywa się Brobery. Przyszedł do nas, podał rękę mateczce i mnie i zapytał:“

— „*Ja kontent że widzę. Teraz duża już. Dobrze wyglądacie. Pewnie Peary dobrze też. Ja z domu „kamiki“ przynieść. Nóżkom ciepło w kamikach. Nie zimno. Poczekać a zobaczycie*“.



Eskimos w małym skórzanym czółnie.

Stary Brobery poszedł szukać *kamików* (buty podbite futrem). Do *Ah-ni-ghi-to* przyszli jej dawni znajomi, którzy dowiedziawszy się, że statek

należy do pana Peary i że maleńka jest na pokładzie, poznosili jej co mieli najlepszego; i prosili, żeby wysiadła na ląd i odwiedziła ich.

(d. c. n.)



Stare zabawki.

Rodzice, babunia i ciocia, starali się dogadzać małej Jadwini, obdarzając coraz to nowymi zabawkami, to też rozpieszczona dziewczynka nie dbała o nie, psuła je lub rzucała w kął, domagając się nowych.

Jedna ciocia Jadwini mieszkała na wsi i miała ją zabrać do siebie, na parę tygodni, gdy przyszła chwila wyjazdu, babunia przyniosła nową lalkę, rodzice także ją obdarowali, dziewczynka nie posiadała się z radości i pakowała do kuferka swe skarby, a gdy ciocia nadeszła pochwaliła się zaraz nowymi zabawkami.

— A dawniejszych nie zabierasz z sobą?— spytała ciocia.

— Nie, ciociu, cóżbym z niemi robiła? Stare zabawki na nic się już nie przydadzą.

— Mogą ci się jeszcze bardzo przydać, niektóre wcale nie są zniszczone.

— Ale ja nie będę się niemi bawiła, już mnie znudziły.

— Nic nie szkodzi, zabierzemy je z sobą.

Jadwinia nie śmiała się ciocie sprzeciwić, dziwiła się tylko na co mogą być potrzebne stare lalki, w brudnych sukienkach z potłuczonymi nóżkami, albo resztki potłuczonego serwisu do herbaty i inne podobne rzeczy.

U ciocie bardzo było wesoło: wszędzie można było biegać swobodnie. Czasami ciocia zabierała z sobą Jadwinę do gospodarstwa i tak dni schodziły przyjemnie, nigdy nie brakło zajęcia.

Jednego dnia Jadwinia wyszła z lalką na dziedziniec, aby pobawić się, jak zwykle z Rózią córką kucharki, lecz dzisiaj Rózia nie była sama, przyszła z nią druga dziewczynka, Joasia.

— Czy i ty przyszłaś się bawić?— spytała Jadwinia.

— Nie, tylko Rózia opowiadała, że panienska ma taką piękną lalkę, więc chciałam zobaczyć.

— Jeszcze ich tu więcej przyszło— dodała Rózia, wskazując gromadkę dzieci stojących opodal.

Jadwinia podała im lalkę i pobiegła po resztę zabawek, których widok wywołał nowy zachwyt, z podziwem oglądano każdą rzecz. Potem przyszła kolej na stare zabawki, Jadwinia słuchała ze zdziwieniem jak Rózia i Joasia, oglądając pogardzone przez nią stare lalki, powtarzały co chwila.

— Jakie ładne! jakie śliczne!

— Czy naprawdę podoba się wam ta lalka choć nie manogi?

— Cóż to szkodzi— odparła Rózia— przecie i taką można się bawić.

— To weź ją sobie— rzekła Jadwinia— a Joasia niech zabierze tę bez ręki.

Dziewczynkom świeciły oczy z radości.

— Panienska nam naprawdę daruje takie piękne rzeczy? pytały z niedowierzaniem.

— Ależ naturalnie i dla innych coś przyniosę— dodała.

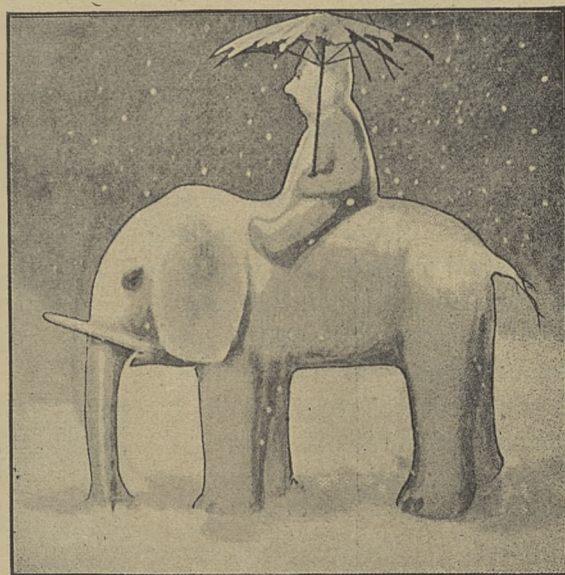
Pobiegła po resztę zabawek i rozdała prawie wszystkie.

— Jak to dobrze, że przyjechałam na wieś— mówiła potem do ciocie— w Warszawie nie wiadomo co zrobić ze starymi zabawkami.

— O moja Jadwiniu, i w Warszawie jest dużo biednych dzieci, którym rodzice nie mogą kupować zabawek, a chore dzieci w szpitaliku i z takich się bardzo cieszą.

Odtąd Jadwinia nie pytała już nigdy, na co mogą się przydać stare zabawki, chowała je starannie, a potem na Gwiazdkę rozdawała biednym dzieciom, których radość sprawiała jej wiele przyjemności.

Marya Bełdowska.

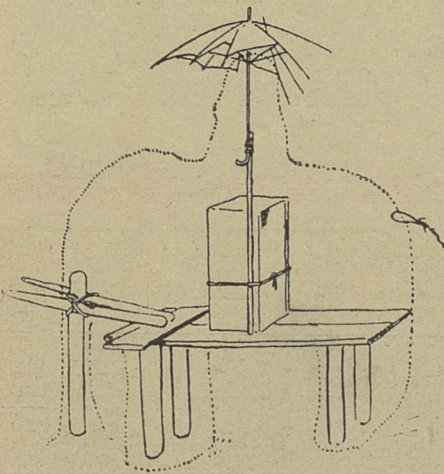


Jeździec na słoniu.

Pod choinką dla Stefanka
Spoczywała niespodzianka:
Duża książka pięknej treści,
Co obrazki w sobie mieści.
Stefuś czyta ją w zapale!
Rozmaite tam wspaniale
Opisane są podróże:
Różne łowy, walki, burze;
Po czytaniu mu do głowy
Przyszedł pomysł dziwny, nowy:
By z rodzeństwem, pośród błonia,
Śniegowego zrobić słoniu

A na słoniu — podróżnika;
 Pole w koło, to Afryka.
 Oj, robota nie jest łatwa!
 Lecz się pilnie zwija dziatwa,
 Lepi, znosi śnieżne bryły
 I pracuje z całej siły,
 Aż w postawie okazałej —
 Stał jeździec i słoń biały.
 W bujnej dzieci wyobraźni,
 Najjaskrawiej, najwyraźniej
 Południowe mkną obrazy;
 Smukłe palmy wśród oazy
 To są grusze i jabłonie
 W brylantowej swej osłonie;
 Śnieżne — białe pól obszary
 Niby piaski są Sahary.

J. Ch.



Tym, którzyby chcieli za przykładem Stefanka ulepić ze śniegu słonia, podajemy wzór do tego wspaniałego dzieła.

(Red.)

Odważni tchórze.

KOMEDYJKA w jednym akcie.

(Ciąg dalszy).

Bolek. Oj, strasznie, babuniu, zimno, ale to nic; dla nas strasznych wojowników (prze-rywa nagle). Babuniu! a to ten urwis o którym babci pisałem.

Babunia. Czemuż tak nazywasz przyjaciela? (do Janka). Jak się masz, Janku! Bardzo się cieszę, że ci rodzice pozwolili przyjechać do nas. Może nie bardzo się tu znudzisz...

Janek (wita się). O nie, proszę pani, zresztą my tu przecież nie długo, bo... (urywa nagle).

Babunia i Irenka. Bo co? przecież macie trzy tygodnie świąt!

Bolek (spogląda piorunującym wzrokiem na Janka i mówi po cichu). Papla! (głośno). Tak babuniu trzy tygodnie, tylko on nie wiedział dobrze.

Babunia. A cóż słychać u cioci? czy zdrowa?

Bolek. Zdrowa, zdrowa, kazała babci ręczki ucałować i przesyła list. Gdzie ja go mam? Ach, w walizce! (podbiega do walizki).

Antosia (wchodzi z herbatą). Chodźta, chodźta, panicz... Nieboraki, jakie to noski mają czerwone, rychtyk jak rodyski...

Irenka (przystawia krzesła). Siadajcie! chłopcy. Bolku, chodź, później poszukasz listu, (krząta się po pokoju, wyjmując z szafy talerze z jedzeniem i stawia na stole).

Babunia. Zaraz, zaraz, mam tu dla was coś dobrego... Ale gdzie są moje kluczyki od spiżarni? (szuka kluczyków).

Janek (schyla się). Oto są, proszę pani, upadły na ziemię (podnosi kluczyki i podaje babci).

Babunia. Dziękuję ci, moje dziecko. Zaraz, zaraz... coś wam przyniosę (wychodzi pospiesznym krokiem).

SCENA III.

Bolek, Janek, Irenka.

Irenka (siada obok chłopców). Ach, jak to dobrze, żeście przyjechali, tak mi się tu samej przykrzyło, Będziecie się bawić ze mną? prawda?..

Janek (z pełnemi ustami). Umhu! (spogląda figlarnie).

Irenka. A jakież macie cenzury?

Bolek (zrywa się, zarzuca ręce na szyję Irenki i zaczyna ją całować). Moja droga, kochana, właśnie chciałem cię prosić! (z wybuchem). Nie zdradź nas, że to teraz dają w gimnazyum cenzury!..

Irenka (ze zdziwieniem). Nie rozumiem cię, Bolku? Przecież...

Janek. Widzi pani... bo my trochę nie tego...

Bolek. O.. on to jeszcze gorzej, niż ja...

Janek. Nieprawda, ty gorzej!

Irenka. Co gorzej?

Bolek. Czekał, powiem ci całą prawdę... Mamy złe cenzury... Ale to nie nasza вина...

Janek. Wszyscy się do nas uprzedzili...

Bolek. Nie przeszkadzaj.. Więc nie chcemy, to jest nie chcę pokazać jej babuni... więc... więc trzeba, żeby babunia nie wiedziała, że teraz dostajemy cenzury.

Irenka. Jakżeż można!..

Bolek. Moja droga, kochana, widzisz, babcia zmartwi się, może zachoruje... A tak to wszystko będzie dobrze.

Irenka. A czemuście się nie uczyli?

Janek. (z westchnieniem). Nie mogliśmy na żaden sposób... takie ważue zajęcia... plany, przygotowania?

Bolek (szturcha pod stołem Janka). Cicho!.. Tak, rzeczywiście nie mogliśmy, zresztą, ty nie masz pojęcia, co to jest gimnazyum.

Irenka (ze współczuciem). Biedni chłopcy, ale swoją drogą... lepiej babuni powiedzieć, ona taka dobra, nie będzie się gniewać...

Bolek. Ale się zmartwi, może będzie płakać!

Irenka. Trzeba będzie koniecznie całą prawdę powiedzieć.

SCENA IV.

Cią i babunia.

Babunia (wchodzi, niosąc ciasto i konfitury). Macie, macie... pewnie to lubicie...

Chłopcy. Wiwat konfitury! (całują babcię po rękach).

Babunia. Czekaście, urwisy, bo wszystko na ziemię upuszczę!

Bolek. Babciuniu, a który pokój jest dla nas przeznaczony?

Babunia. Tamten obok stołowego (pokazuje na drzwi).

Janek. Doskonale! pokój na dole... (miarując się) to jest.. chciałem powiedzieć, że bardzo lubię pokoje na dole...

Babunia (do Irenki). Jedźcie a my z Irenką pójdziemy do pilnej roboty, pomożesz mi zbierać jabłka, bo wiele jest zepsutych.

Irenka. Przyjdźcie do nas do spiżarni... Jabłka wyborne... (wybiega z pokoju, za nią wychodzi babunia).

SCENA V.

Bolek, Janek.

(przez chwilę chłopcy siedzą w milczeniu. Janek wyciąga rękę po konfitury).

Bolek (zatrzymuje go uroczyście). Żółty Lwie! nie zapomnij, że należysz do zgromadzenia nieustraszonych wojowników.

Janek. Ależ, przecie... cóż to jedno drugiemu przeszkadza?

Bolek. Konfitury, to rzecz dobra dla dzieci, ale nie dla nas.

(Chwila milczenia, Janek wdycha).

Janek. Bolek...

Bolek. Niema tu żadnego Bolka.

Janek. Czarny Sęp! więc jutro rano, czy jeszcze dziś wieczorem?

Bolek. Ani rano, ani wieczorem, tylko w nocy, ucieka się zawsze w nocy.

Janek. Przedtem trzeba list napisać, żeby wiedzieli, co się z nami stało...

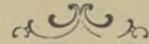
Bolek (z dumą). O, jakich to dwu bohaterów, sławnych zdobywców i podróżników było w tym dworze! (Chwila milczenia).

Janek. Czy wszystko już gotowe.

Bolek. Wszystko, muszę jeszcze tylko zdobyć z kuchni „tomahawk”. (d. c. n.)



Zadania i łamigłówki.



Arytmogryf klepsydrowy.

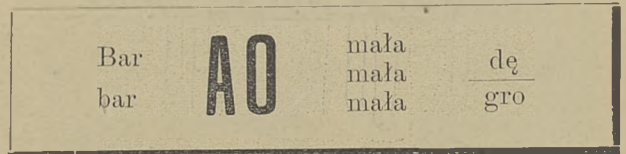
podał Winicyusz dla Quintusa.

<p>A</p> <p>10 3 13 3 8 11 2</p> <p>8 1 8 12 9</p> <p>15 7 10</p> <p>6</p> <p>4 6 4</p> <p>14 7 2 8 14</p> <p>9 11 3 12 9 14 9</p> <p>D</p>	<p>C</p> <p>Liczby należy zastąpić literami w ten sposób aby w kierunku poziomym otrzymać następujące wyrazy:</p> <p>1) Liczba. 2) Miasteczko we Włoszech. 3) Wielki kościół. 4) Samogłoska. 5) Zamek. 6) Dawna twierdza obronna nad Dnieprem. 7) Rzeka w Ameryce połud.</p>
---	---

Litery początkowe i końcowe tych wyrazów w kierunkach A — B i C — D utworzą dwa nazwiska słynne malarza i uczonego.

REBUSIK.

ul. Aes dla czytelników „Wieczorów“.



ROZWIĄZANIA do N-ru 2-go.

Logogryfu: 1) Mukden. 2) Tartar. 3) Ramzes. 4) Rycerz. 5) Apollo. 6) Ananas. 7) Gwinea. 8) Sahara. 9) Walezy. 10) Tantal. 11) Lublin. 12) Memphis. 13) Wiedeń. 14) Mikado. 15) Ceylon. 16) Azbest. Odpowiednie litery tych wyrazów składają nazwisko: **Maryan Gałalewicz.**

Figla rebusowego: Ła-mi-głów-ka.

Zadania arytmetycznego: Siedemdziesiąt osiem razy.



Wymiana kart pocztowych.

(Za pozwoleniem rodziców lub opiekunów).

Kazimiera Podolska (Ołtów, gub. Warszawska) życzy sobie zamiennie pocztówki z Syguną, Księżniczką i Podolanką.



ZABAWA KRÓLEWSKA.

Don Carlos, król portugalski należy do ludzi wesołych, towarzyskich i lubiących wszelkie ćwiczenia i sporty. Tej zimy podczas pobytu w Anglii na zamku u ks. Devonshire, chcąc sobie skrócić czas oczekiwania na śniadanie, zaatakował ministra swego kulą ze śniegu, i stąd wywiązała się zabawa, w której udział wzięły najwyższe osoby dworu angielskiego. Śnieżki uzyskały ogólne uznanie ku wielkiej radości młodych książąt i księżniczek.

ale potęgą jego upadła. I wtedy dopiero wyszła na jaw prawda: że król postradał połowę talizmanu. „*Berła Świata*“ rozdwojone, postradało swoją władzę.

Zwycięzca posuwał się ku stolicy, tybetańska armia nie była w stanie powstrzymać go w drodze. A kiedy tryumfalnie wszedł do miasta, wiadomo już było wszystkim, że w jego ręku znajdują się obie połowy jaspisowego talizmanu i że to mu dało niezwalczoną potęgę.

Zwycięzca panował długie lata. A gdy został zamordowany i znaleziono na drodze jego ciało przeszyte mieczem, przerażeni żołnierze zrozumieli, że napróżno szukali „*Berła Świata*“. Zostało ono skradzione i przez pewien czas dworzanie oczekiwali ukazania się mordercy. Nadszedł wreszcie — ubogi wieśniak, na czele okrytej łachmanami armii biedaków.

Po kilku bitwach, w których żołnierze królewscy zwyciężeni zostali przez tłum wieśniaków, ogłoszono światu, że wódz ich jest w posiadaniu talizmanu, i dworzanie ofiarowali mu tron. Panował jakiś czas, ukrywając z przebiegłością złoczyńcy talizman w miejscu nieznanem nikomu. Ale, że był niegodziwym tyranem, dworzanie chcieli się go pozbyć i śledzili tak pilnie, że odkryli gdzie ukrył talizman, który zabrali najwięksi mędracy w kraju.

Lecz i ci poznawszy potężną moc talizmanu, zapragnęli ukrócić tę potęgę. Obawiając się, ażeby nie wpadł znowu w niegodne ręce, po długich naradach postanowili zdobyć się na krok stanowczy.

Rozdzielili talizman: jedną jego cząstkę zatrzymali jako godło władzy, drugą oddali w ręce zaufanego sługi. W ten sposób żadna z dwóch części nie miała mocy—*Berła Świata* postradało swoją potęgę. Władcy Tybetu postanowili, że nigdy już te dwie połowy nie będą złączone.

Dlatego też człowieka, w którego ręce złożyli połowę talizmanu, wyprawili daleko ku morzom Zachodu. Po kilkodniowej podróży, miał on polecenie wsiąść do czółna, płynąć cały dzień i na pełnem morzu rzucić kawałek zielonego jaspisu w fale morskie. W ten sposób tybetańscy mędracy spodziewali się zapobiedz połączeniu kiedykolwiek dwóch części talizmanu. Była to zbyt wielka świętość, ażeby można było oddać ją na pastwę ognia lub skruszyć na proch.

Zaufany sługa puścił się w podróż, wykonawszy straszliwą przysięgę, że spełni wiernie polecenie. Dojechał nad brzeg morza, ale podczas podróży miał czas do namysłu. Dusza jego wzdrygnęła się na myśl zniweczenia tej wielkiej potęgi, może kiedyś—po upływie wieków—pojawia się władca, w którego ręce przeznaczono dostać się talizmanowi. Do nadejścia tej chwili obie

połowy powinny być rozdzielone—lecz czy godziłoby się zniszczyć ten skarb bezpowrotnie?

Wierny sługa po rozmyśle, powziął inne postanowienie. Wspomniał na tych współbraci, którzy w zaraniu wieków wywedrowali do odległych krain Południa. Postanowił złożyć posiadany skarb w ręce tych braci, oddzielonych morzami od swoich, i puścić się śladem przedsiębiorczych wojowników.

Rok za rokiem mijał, a on wciąż płynął na Wschód i na Południe, do nie znanych wysp na południowym morzu. Podróż była uciążliwa i powolna, ale w końcu dobił się na krańce świata.

I przybył do Nowej Zelandyi, która była w posiadaniu Maorisów, tępiących słabszą i mniej rozwiniętą rasę zamieszkującą przed nimi tę wyspę.

Tybetańczyk został przyjęty z wielką uroczystością, bo wśród Maorisów nie zaginęła jeszcze pamięć o ojczyźnie i nawet w ich języku zachowały się wspomnienia dawnej mowy. Tybetańczyk najstarszemu z wodzów Maorisów powierzył tajemnicę swej podróży i złożył w jego ręce talizman.

Wódz wśród odpowiednich obrzędów ogłosił talizman za *tabu*—rzecz świętą i nietykalną. Historia zielonego jaspisu powtarzana została przez wodzów i mędrców plemienia, dopóki nie nauczyli się jej na pamięć, a potem z kolei powierzali ją najstarszym synom, którzy mieli powtórzyć to swoim dzieciom. I tak podanie przechodziło z pokolenia na pokolenie wiecznie i bez zmiany.

Spełniwszy zadanie Tybetańczyk puścił się z powrotem do kraju. Przybył nakoniec na wybrzeża Chin ale już stary i słaby, i pierwszej nocy po wylądowaniu został zamordowany—bo przypuszczano, że w jego posiadaniu znajduje się połowa talizmanu. Wtedy już byli ludzie nie cofający się przed żadnym czynem, byleby dostać w swoje ręce „*Talizman władzy*“. Zapewne mordercy byli wysłańcami Buddyjskich kapłanów, którzy zagarnęli w swoją moc pozostawioną w Tybecie jego połowę.

Od tej pory poszukują oni miejsca, gdzieby została ukryta druga połowa — lecz nadaremnie. W Nowej Zelandyi tajemnica była ściśle strzeżona: sama świętokradzka wzmianka o talizmanie, mogła spowodować straszną śmierć na świętokradcę. Wspomniano o jednym z wodzów, śmiałku który lekkomyślnie wymienił imię *Talizman Władzy* w języku Maorisów, i w przystępie wyrzutów sumienia zadał sobie śmierć tej samej nocy. I tak talizman pozostał w ukryciu niedostępny.

Przechodził on od jednego wodza do jego następcy, strzeżony przez nich jak oko w głowie. W każdym pokoleniu czterech tylko ludzi znało jego wartość i szczegóły w jaki sposób dostał

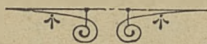
się w ręce Maorisów. Tak podanie przetrwało wieki.

Teraz zbliżał się koniec. Talizman dostał się w ręce ostatniego z wtajemniczonych. Pora nadeszła szukać dla niego innego schronienia, lub być może, innego użytkowania cudownej jego potęgi.

Tanawha miał go przez całe życie pod swoją opieką. Byli on ostatnim potomkiem potężnego wodza, któremu Tybetańczyk powierzył straż nad skarbem. Drugi opiekun, wróżbita, umarł przed dziesięciu laty, a od tej chwili stary wódz był jedynym strażnikiem relikwii.

Powierzył tę tajemnicę synowi, który tak jak inni potomkowie starego Tanawhy — umarł przed nim: a on, najstarszy z całego plemienia, był ostatnim z rodu wodza, który utworzył ich klan. Więc nie miał komu powierzyć tajemnicy wielkiego i straszego *tabu*. Był stary i zwinny oglądał się w około i nie widział nikogo, ktoby był godzien spełnić wielkie i trudne zadanie. Młodzi ludzie z jego pokolenia byli głupimi, upędzającymi się za zwyczajami *pakehów* — niepomi podać narodu, zaniedbujący sztukę rycerską, z której dawniej tak słynęli Maorisowie.

(d. c. n.)



Nasze prawa i obowiązki.

LIST III.

Warszawa 19...

Kochana Zosiu.

Widzę, że naprawdę nie boisz się ciotki i że stosunek nasz stanie na stopie zupełnego zaufania. Takim właśnie mieć go pragnęłam, co zaznaczywszy wracam do treści twojej odpowiedzi.

Pali się w głowie panny Zofii, czuć to w każdym wyrazie; nawet, widzisz jak mało jestem zarozumiiała. Nawet objawy uczucia twego dla mnie, są symptomem podniesionej do wrzenia temperatury uczuć, na termometrze serca mojej siostrzeniczki.

Znamy to, znamy, i nie dziwimy się wcale, bo, chociaż trudno ci zapewne temu wierzyć, nietylko ty pierwszok — Zosia, ale i ja siwowłosa, ciocia Zosia,

miałam kiedyś lat siedemnaście. Tak, tak, prędko mija czas uniesień. o którym poeci śpiewają, że jest snem na kwiatkach, snem złotym, że choć krótkotrwały rzeźbi dźwiętem swojego wpływu całe następne życie człowieka. I dla mnie więc minęły piękne dni Aranjuezu, jak mówi Szyller, co przetłomaczono na prozę znaczy, że minęła już moja młodość, a jednak wspominam z radością jej uniesienia, zachwyty, wiary, porywy, nadzieje.

Odnalazłam siebie w twoim liście, Zosiu, nawet to „szalenie“, które *correcte* ciotka powinna by zganić jako wyraz zanadto rozwichrzony, przypomniało mi mój sposób wypowiedzania się przed laty... mniejsza z tem wielu, nie postawię żadnej daty, żeby nie zrażać cię zbytnią starością.

Leżą w biurku poźółtkłe od wilgoci listy, w których z podobnym jak ty impetem wypowiedzania moje uczucia. Kto wie, może zajrzę jeszcze kiedy do nich i porównam zwierzchnia dwóch pokoleń, będą zapewne między niemi odcienia nowych pragnień, szukanie nowych dróg, ale będzie przedewszystkiem ta sama wszechpotężna w swej wiekuiście powrotnej sile młodość, która potrzebuje *wykrzyzczyć* z siebie własne wrażenia i porywy, wyekspensować nadmiar i bogactwo własnych myśli i uczuć.

Jestem pewna, że ty nawet fizycznie odczuwasz potrzebę wyzbycia się nadmiaru sił, że chętnie dosiadasz konia, przypinasz łyżwy, biegiesz do waszego ślicznego lasu, żeby odzyskać spokój, którego wymagamy od dorosłej panny, a raczej, od *rozsądnego człowieka*.

Tak, człowieczeństwo szanują w was dziś więcej, wy młode podlotki, niż za moich czasów. Rodzice liczą się z waszemi pragnieniami, dają więcej wolności córkom; rozporządzacie często pieniędzmi przeznaczonemi na wasze wydatki; uczycie się porządniej i więcej; uczycie się nawet celowo, z chęcią pozyskania specjalnej wiedzy. Cenzura matek przy wyborze książek dla córek jest mniej surowa, książki te, dobierane staranniejszą poważniejszą treścią, dają wam poznać zagadnienia nauki, pogłębiają umysł, czynią go sprawniejszszym do zrozumienia dążeń wieku i odczucia prądów nurtujących społeczeństwo.

Jeszcze Wincenty Pol pisząc o dziewczętach polskich wyraził się pięknie i trafnie, że potrafią one odczuć „co myśl wieku kryje w głębi, co się w czasie zrywa, waży“. Otóż odczuć umiałyśmy i my w mojej młodości, niemniej silnie od was kwestye, ogół obchodzące, — wam jednak kwestye te są więcej dostępne przez gruntowniejsze przygotowanie umysłu i widzę z listu twego, jak moja siostrzeniczka interesuje się niemi żywo, zwłaszcza, że brat Staś wielki ma wpływ na młodszą siostrę, prawda?

Ale nie o tem pisać chciałam, moim zamiarem było, upomnieć się o twój portret dokładny, sumienną fotografię duchowego „ja“ mojej chrestnej córki, nie pastel, kokietujący wodnemi kolorami, takim zbyć się nie dam.

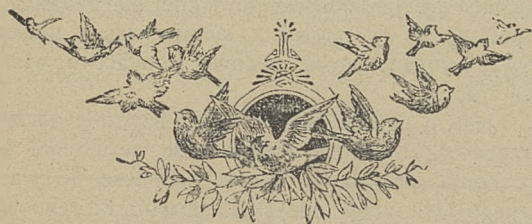
Poza wszystkimi marzeniami i celami, chociażby szeroko pojętemi, stoi jedno najważniejsze zadanie dla każdego człowieka, a tem jest *udostojnienie własnej duszy*. Tak, Zosiuniu, żądam od ciebie porządnego rachunku sumienia.

Przebrzmiały to, a dobry zwyczaj pisania portretów moralnych; czytałam kilka takich wizerunków osób znakomitych z końca 18-go wieku, a i w pismach naszej Gabryeli znalazłabyś ciekawe próbki samokrytyki. Obiecuję ci przechować wiernie to co napiszesz, kiedyś za lat kilkanaście odczytasz z ciekawością sąd swój o sobie, przypomnisz poglądy na świat, zmierzysz przeby-

tą drogę ducha i poznasz z porównania dwóch momentów życia, czy rozprzestrzeniła się twoja myśl, czy serce nie zastygło w codziennej trosce i powszedniości.

Będziesz mi wdzięczną, Zosiuniu, za pomysł napisania moralnego portretu, chociaż wyda ci się on może trudnym, i może, boć na to także jestem przygotowana, pomyślisz sobie, że żądanie ciotki jest wdzieraniem się w tajniki uczuć siostrzenicy. Widzisz przewidziałam ten zarzut, ale po dłuższej rozwadze nie odstąpiłam od zamiaru, bo wiem, że młodość chętnie się wypowiada i zwierza. Obiecuję jaknajmniej mantyczeń, niczemu zbytnio się nie dziwić, słowem być wzorowym przyjacielem-powiernikiem i czekam z niecierpliwością co też odpowie moja chrzestna córka na zbyt śmiałe może żądanie kochającej ją

cioci Zosi.



ŚNIEŻKI.

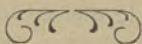
Lecą śnieżne puchy
Z siwo — płowej chmury,
Snują się hen z góry...
Lecą śnieżne puchy,
Drząc w przestrzeni głuchej
Drobnouchnemi pióry...

Na cóż wam, o, na co
Rzucać nieba głębie
Mrzeć w ziemskim obrębie?
Na cóż wam, o, na co?...
Skrzydełka gołębie
Prędko biel swą stracą..

Odpowiedzą śnieżki:
— Dobra nasza dola —
Ogrzewamy pola. —
Odpowiedzą śnieżki:
— Młodych pączków brzeżki
Puszek nasz okola. —

— Dobrze istnieć chwilę,
Chociaż chwilę małą —
Ofiarą wspaniała;
Dobrze istnieć chwilę,
I w poświęceń sile
Oddać duszę całą. —

Zofja Zacharkiewiczówna.



ZE ŚWIATA.

Ś. p. Henryk Wernic. Dnia 8 stycznia r. b. zmarł w Warszawie w 76-ym roku życia znany pedagog, pisarz dla młodzieży, ś. p. Henryk Wernic, współpracownik naszego pisma. Wkrótce pomieścimy obszerniejsze wspomnienie zasłużonemu temu mężowi.

Ludność Warszawy.

Przypuszczamy, że słuszną ciekawość w was zbudzi Ile też miasta nasze liczy teraz ludzi.

Otóż od trzech czwartych miliona już więcej,
Bo siedemset siedemdziesiąt i jeden tysięcy.

Tak! podług urzędowych danych, d. 14 stycznia 1904 r. Warszawa liczyła 771,382 mieszkańców; że zaś w 1894 r. — liczyła — 515,659; w 1884 r. — 404,889 i w 1874 r. — 261,249 mieszkańców, więc w ciągu lat 30 ludność Warszawy wzrosła o pół miliona przeszło!

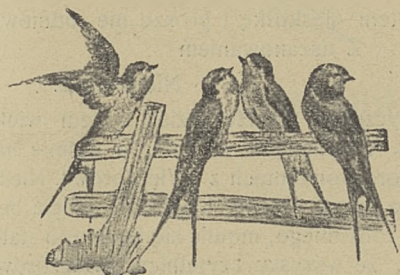
Liczba gwiazd znanych. W 1800 roku katalog ciał niebieskich, ułożony przez astronoma Lalandę — liczył 17,000 gwiazd. W 1863 r. — znano już ich 324,000. Ale zgadnijcie, ile gwiazd będzie oznaczonych na przygotowywanej obecnie przez astronomów wszystkich krajów olbrzymiej mapie nieba? Oto ni mniej ni więcej, jak dwa miliony.

Odkrycie tyłu gwiazd zawdzięczamy przede wszystkim wydoskonaleniu szkielek i instrumentów optycznych. Kiedy w 1860 roku średnica obiektywu, t. j. szkła powiększającego największego ówczesnego teleskopu w Nizy wynosiła $\frac{3}{4}$ metra, a długość lunety 16 metrów, obecnie w największym teleskopie w obserwatorium Jekrshiru w St. Zjedn. Amer. północnej długość średnią szkła wynosi—1 m. a lunety—19 metrów. Tak więc nauka doskonalą technikę, a ta z kolei ułatwia rozwój nauki.

„Gdybym była królową“. W jednej ze szkół żeńskich w Londynie, zadano w niższej klasie ćwiczenie na temat „Gdybym była królową“. Zabawne opracowania tematu przytacza pewien dziennik londyński. Jedna z dziewczynek napisała: „Gdybym była królową, zabroniłabym najsurowiej używania pudru, oraz wszelkich innych środków upiększających, a żadna osoba, sztucznie „przyrzadzona“, nie miałaby wstępu do mojego salonu. Nie ścierpiałabym również „zakręcania“ włosów, oraz tym podobnych sztuczek dla wytwarzania loków; w mojem państwie byłoby wolno nosić tylko naturalnie kręcone włosy“.

Inne uczennice brały swoje królewskie stanowisko z wyższego punktu widzenia i przede wszystkim zwracały bardziej uwagę na dobro poddanych. Tak np. jedna z dziewczynek wyłuszcza w ćwiczeniu swoim w jaki sposób każdy w jej królestwie mógłby znaleźć pracę, — zagadnienie, które dotychczas, poza obrębem szkoły dziewczęcej, niestety, nie zostało rozstrzygnięte. „W ten sposób“, wnioskuje autor-

ka ćwiczenia, „nie byłoby już ubogich ludzi i nikt nie byłby zmuszony wędrować po ulicach bez dachu“. Po przeprowadzeniu tej doniosłej reformy, uczennica wypowiada swoje własne pragnienia. „Potem“, pisze, „kupiłabym sobie śliczny bicykl, kucyka, psa szkockiego i zamieszkałabym w willi na wsi, gdzie żyłabym w spokoju“.



Skrzynka do listów.



Dobrze wróży skrzynka! pomyślałam odbierając torbę z listami, którą przyniósł Jan, woźny redakcyi. Pocziwy Jan wie, że Jaskółka lubi kiedy torba pełna, uśmiechał się też wesoło, oddając mi waszą korespondencyę, a ja szybko policzyłam koperty i o radości! znalazłam aż dwanaście listów od nowych korespondentów.

Jest między nimi jeden, którego najprzód utulić pragnę. Wyrwałabym z pod serca pióro, żeby odpisać na wołanie **Sierotki Polki**. Słusznie mówisz, że ojczulek twój zawsze żyć będzie w pamięci tych, którzy go kochali, bo jak uczy Brodziński „Wierzajcie, jest i tutaj nieśmiertelność druga, Człowiek zniknie lecz żyje cnota i zasługa“. Zmieniłam twój pseudonim Sierotko, bo ten który wybrałaś, jest już zajęty. Pisuj, proszę jaknajczęściej.

Nemophila i **T. R.** wielką radość sprawili mi swemi rysunkami, czekam spełnienia obietnicy, długich listów od kochanych artystów.

Niema błędów w twoim liście **Dobra Nadziejo** nie zdziwił mnie on wcale, a że pragniesz, aby ci błędy wytykano dowodzi chęci doskonalenia się. Zatem przybywa nam mądre pisklę i chętnie zapisuję je w poczet „dzieci Wieczorów“.

Leśna Niezapominajka zakwitła dziś w mojej skrzynce, a miły ten gość obiecuje napisać obszerniej. Trzymam za słowo skrzętną gospozię, której smaczne strudelki Jaskółka dziobałaby chętnie.

Winicyuszowi redakcyja odpowie w kwestyi konkursu, a ja życzę mu dobrych stopni i dziękuję za odezwanie się.

Przykro mi **Marcelku Kokezyński**, że tak późno odebrałam twój miły list, piszesz starannie i serdecznie więc pragnę bardzo poznać cię bliżej, donies jakie lubisz książki, a także czy masz rodzeństwo.

Te same pytania powtarzam pod adresem **Żelaznej Ręki**. Nie sroga to prawica bo pamięta o ubogich dzieciach, to też z zaufaniem wyciągam do niej łapkę.

Rudo Łakant dziwny wybrał pseudonim, może wytłumaczysz mi jego znaczenie starannie napisanym listem, pismo wyraźne to przymiot, który Jaskółka bardzo ceni prosi też o nie ciebie i kochaną **Jutrzenkę**.

Ligia Staruszka jest nową korespondentką, dla odróżnienia od dawnej dodałam przymiotnik do twego pseudonimu **Ligio**, pragnę poznać cię bliżej. bo

przywiązanie twoje do dobrej nauczycielki, zamiłowanie w naukach i malarstwie, każą mi dobrze wróżyć o **Rzymiance—Warszawiance**. A za co kochasz rodzinne twoje miasto? czy porywa cię życie jego ulic, czujność z jaką odbija się w nim każdy nowy przejaw ducha, czy może uczucie jakie umie okazać niedoli swych dzieci?

To **Trawata** puka nieśmiało do mojego gniazdu. Skądże ta nieśmiałość u zuchowatej korespondentki, która nietylko, że sporty uprawia, ale ma odwagę zwalczać przesady. Pamiętaj tylko **Trawato**, że wielka odpowiedzialność ciąży na ludziach, gotowych po stromych iść ścieżkach; jeśli świecić będą przykładem to innych za sobą powiodą, jeśli nie odpowiedzą godnie trudnym warunkom to zniechęcą tych, którzy jak ty walczyć pragną o tryumf uczciwej pracy.

Ja miałabym cię podrapać **Pensyonarko**? moje łapki nie groźne, wyciągam je do ciebie i do **Cechny** prosząc o przyjaźń i obiecując dłuższą odpowiedź w przyszłości, bo dziś listów dużo, a jeśli dawno nie było między nimi odezwy **Polskiej dziewczyny**, o którą pytałaś, to pewnie dlatego że ma ona teraz bardzo wiele zajęcia.

Dziękuję **Kran-Paduto** za wiadomości odebrane i spodziewam się, że doniesiesz mi co o swej nauce, a może o ślizgawce, czy chętnie biegniesz na lód?

Różowej Kulce, **Podolance**, i **Leśnej Konwalii** przesyłam za życzenia noworoczne serdeczny uścisk załączając prozbę aby częściej odzywały się do Jaskółki.

Śliczny twój pseudonim **Biała Gołąbko** i drogie kryje nazwisko. My pierzaste stworzenia nie obrażamy się nigdy, mamy nasz ptasi rozum, który uczy, że obraźliwość to śmieszna wada, prawda **Gołąbko**?

Zgadłaś kochana **Muszko** z nad **Rosi** jestem niespokojna jak się udała operacyja **Piwonijki** i o **Kici P.** pragnę mieć wiadomości. Dziękuję ci za te, jakich mi udzielasz, zwłaszcza cieszy mnie mężtwo **Konika Stepowego**. **Lilla Weneda** z **Satijowa** nie pisała dawno do „Wieczorów“ a i warszawska **Lilla Weneda** milczy na zmartwienie Jaskółki, która bardzo teraz o niej myśli. Co porabia czwórka młodszego rodzeństwa **Muski**, czy prędko odbiorę list od **Jasia**?

Dziękuję **Tesiu** z **Malin** za życzenia, ucałuj ode mnie braciszków a gdy młodszy przeszkadzać ci będzie w pisaniu postrasż go Jaskółką, chętnie schowałaby ona psotnika pod swoje skrzydełka.

Czemu **Bławatku** z **Rokitna** nie donosisz nic o swoich braciszkach, jedyna siostra tak licznej gromady chłopców, musi szczególnie być przez nich kochaną i pewnie pomaga mamie w pracy około rodziny

Oto co pisze **Prządka złotych nici**: zrobię codziennie rachunek z sobą i jeśli będę z danego dnia zadowolona do skarbonki włożę tylko 1 kop. jeśli nie to za karę 5 kop. zapłacę i zbierane w ten sposób pieniądze przysyłę „Więcзорom“ dla głodnych. Brawo **Prządko!** śliczna myśl, życzę jednak biednym abyś mało zbierała pieniędzy, zgromadzisz za to zapas cnót, z których kiedyś urośnie stokrotny plon dla społeczeństwa.

Życzenia **Stefy Koniecówny** były mi bardzo miłe, bo pismo śliczne i słowa zawierały serdeczne. „Bodajby ten rok szczęśliwszym był dla ubogich i potrzebujących, bodajby tych ostatnich coraz mniej było na świecie, a tobie Jaskółko niech ten rok przyniesie dużo miłych korespondentów“, pisze kochana **Lilijka**. Śliczne życzenia, w części już się urzeczywistniły, bo nowych piskląt naliczyłam dziś dwanaście. A z wiosną

plony na polu urosną i pszenica na zagonie, złocistym kłosem zapłonie. Spełnią się dobrej Lilijki pragnienia.

Dobre to kwiatki, **Bławatek i Lilijka polska**, nie zapominają o Jaskółce. Dzielę Lilijko twoją cześć dla Prusa, bo do wielkiego talentu łączy on wielkie serce, tylko fałszywie nazywasz miejscowość w której czcigodny autor chętnie odpoczywa. Zowie się ona Nałęczów a nie Neanczów. Geografię kraju należy znać dokładnie prawda kochana Lilijko? Biała Wisetka jest pilną czytelniczką „Wieczorów“ i dzielną pracownicą, ale nie mam prawa zdradzać jej pseudonimu.

Na koniec zostawiłam list **Świtezianki**, zrobił mi on wielką przyjemność. Świtezianka idąc za radą Jaskółki zżyła się z koleżankami i przysłała przytem bardzo ładny rysunek wraz z wierszem, który jest o wiele lepszy niż przysyłane dawniej. Z czasem może „Wieczory“ drukować będą twoje utwory, ale wprzód dużo jeszcze pracować musisz. Laszka pragnęłaby z tobą zamieniać karty, co zaś do mnie, to, Świtezianko, leciałaby Jaskółka chętnie w twoje strony, bo okolice Nowogródka słyną z malowniczości i przemawiają do serc, które piękno odczuć umieją. Piękno ziemi rodzinnej to klejnot drogi każdemu z jej dzieci, więc dzielę twój zachwyt nad uroczą miejscowością i myślą przenoszę się tam gdzie stała kolebka Adama Mickiewicza. Że deptać możesz te same, co on ścieżki, zazdrości ci tego wasza Jaskółka,

Ze skrzynki dzisiejszej wydzieliłam list jeden, niezwykły, który mnie wzruszył niezmiernie. Pochodzi on od korespondenta mojego, który niedawno jak wy wszyscy czytywał spokojnie „Wieczory“ w domu rodzinnym, a teraz jest jako żołnierz na Dalekim Wschodzie.

List ten ze stemplem pocztowym stacyi kol. żel. Syberyjskiej Kaińsk (między Omskiem i Tomskiem) szedł do Warszawy dni dziesięć.

Przytaczam go w całości.

7 grudnia 1904 r.

Kochana Jaskółko!

Czy Jaskółka myślała kiedy, że jeden z jej korespondentów pojedzie na wojnę, a oto na wojnę pojechał Niedźwiedź; czy Jaskółka pamięta Niedźwiedzia, pisywałam do Jaskółki, kiedy byłem w domu.

„Wieczory“ i teraz przychodzą do nas, ale ja otrzymywać ich nie będę, bo ciągle jestem w drodze.

Jeżeli Jaskółka zechce zrobić mi ostatnią przysługę to ogłosi w „Wieczorach“, że składam uszano-

wanie moim znajomym czytelnikom, a mianowicie: Staśce Doregowskiej, Zosi Jakubowskiej, Mazurowi z nad Wisły, Waławowi Świrskiemu z rodziną, Kmicicowi i Teresi Riestyanis.

Z tymi czytelnikami prowadziłem korespondencję, ale z wyjazdem na wojnę urwałem ją, nie wiedząc więc o przyczynie tego, może więc Jaskółka wytlomaczy im to i pośle ode mnie tę wiadomość.

Skończywszy lat 18, wstąpiłem do jednego z pułków jako ochotnik, pułk ten teraz wyruszył na wojnę i wypadło mi pójść razem z nim.

Żegnam zatem Jaskółkę i proszę nie odmówić mojej prośbie. Z uszanowaniem

Niedźwiedź.

Spełniam życzenie Niedźwiedzia, z tem większym wzruszeniem, że pamiętał o mnie, o piśmie naszym i o swych korespondentach z „Wieczorów“. Niech go Pan Bóg otacza swoją opieką i pozwoli wrócić bez szwanku do domu rodzinnego, modlić się będę o to stale. Mam też nadzieję, że wszyscy czytelnicy „Wieczorów“ nie zapomną o dawnym towarzyszu w modlitwach swoich.

Jaskółka.

Od Redakcyi. Na liczne zapytania odpowiadamy, że konkursu na kaligrafią, wypracowania, rysunki i t. p. rozpoczniemy od lutego.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Prenumeratorowi J. P. Żądane klisze możemy sprzedać po cenie umiarkowanej. W tej sprawie można się porozumieć w redakcyi „Wieczorów“ codziennie (prócz świąt i niedziel) od 10 rano do 6 po południu.

Samurajowi. Marki otrzymaliśmy. Dziękujemy.

Trafne rozwiązania zadań i łamigłówek z ostatnich numerów nadesłali: Helena Karasińska, stały czytelnik J. K., Janinka Miłkowska, Winicjusz, Samuraj i Filolog.

Winicyuszowi. Kilka z ostatnio nadesłanych łamigłówek zaliczone zostały do druku.

Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

TREŚĆ: Na ślizgawce (z ryc.). — Gdzie są kresy atmosfery ziemskiej, przez St. Kramsztyka. — Przygody Imć Pana Mikołaja, przez Z. Morawską. — Talizman władzy, przez Wawrzyńca Zeal'a (przekład M. G.). — Zabawa królewska (z ryc.) — Nasze prawa i obowiązki (list III). — Śnieżki (wiersz), przez Z. Zacharkiewiczównę. — Ze świata. — Skrzynka do listów. — Odpowiedzi Redakcyi. **Dodatek:** Ah-ni-gh-ito (z ryc.), z ang. przez M. G. — Stare zabawki, przez M. Bełdowską. — Jeździec na słoniu (wiersz z ryc.) przez J. C. — Odważni tchorze (komedyjka), przez J. P. — Łamigłówki.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Balińska.**